NUMER 13. DNIA 29-go MARCA 1903 ROKU ROK XI

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

WŁADYSŁAW ORKAN.

POMÓR.

POWIEŚĆ.

(2)

Złe roki.

Było to w czasie, kiedy pomsta przeszła po dworach i ostawiła za sobą: powytłukane okna, porozbijane sprzęty, pootwierane stodoły, a gdzieniegdzie spaleniska abo i trupy. Strach było patrzeć na to zniszczenie okrutne. Widziało się: jakiś duch zatraty dmuchnął piekielną siarką po pałacach. I nie było jednego dworu na znanym obszarze kraju, któryby od tej podmuchy ocalał. Wszystkie stały, jeśli nie rozwalone, w zaniszczeniu i podawały czoła do upadku. Gdzieniegdzie mur jeno sterczał abo komin wysoki nad ziemią a reszta się już rozsypała i zalegała miejsce pokoi dawnych kupą gruzów. Tu i ówdzie jeszcze pałac się odzierżył, ale powywalane drzwi i powybijane okna świadczyły dość wyraźnie, że ludzi w nim niema. I stały te pałace w opuszczeniu smutnem, patrzały ku wsiom swoim otworami okien — skąd dawniej szły strach i groza, teraz wiała pustka... Stały, jak te grobowce ludzkiej pychy, po których wojna przeszła i łupieżcy rozwalili je, aby wydobyć bogactwa na trupach zachowane.

Były tam bogactwa, były — ale nikto ich z ludzi nie widział... I nie wiadomo, gdzie się podziały. Tak, jakby w ziemię wsiąkły... Bo i panowie ich nie zdołali unieść — i w chałupach ich nie widać było. Ba! W chałupach sto razy przykrzejsza nędza zagnieździła się, niż przedtem.

Nastały roki złe...

Zaraz w pierwszem lecie po rabunku zboża pohybły na polach, a gdy nadeszły żniwa, to nie było wyraźnie co zbierać. A ludzie wsiali na wiosnę więcej, niż po insze roki; bo choć niejeden nie miał na tyle w sąsieku, to podczas rabunku przybrał z pańskiego gumna i wsiał sporo. Ale, widać, pańskiemu zbożu nie zdało się na chłopskich gruntach, nie chciało nijak urość, a jeszcze przykładem swoim popsuło to insze, co już było wzwyczajone do jałowej ziemi. Abo też, kto wie — może taki czas był, taka kara. Bo co się to zboża naosypało podczas rabunku po drogach! Deptano po niem, jak po piasku. Pan Bóg musiał i to widzieć... To też zapłaciło się przy żniwach. Nie było co zbierać. A skoro przyszło do omłocki, to nie było co i widzieć... Mało co ziarnek się dostało a i te nikły w oczach prawie; w żadnem nie było duszy. Na dopłatek ziemniaki poczęły się psuć na zagonach i gdy nadeszło kopanie — z połowę blisko okazało się zgniłych, reszta drobiazg, nie większy od przepiórczynych jaj. To była wszystka żywność, jaką naród na zimę z pól zebrał. Poczęły się też dni przesmutne, po których ludzie, jak po urwisku po-

chyłem, staczali się w przepaść nędzy coraz to czarniejszą...

Tak się poczęły złe roki.

Z początku ludzie się jakoś krzepili, jeszcze się ratowali wzajem w tej nadziei, że Bóg zwróci na ziemię litościwe oczy, i że ta nędza się skończy. Ale skoro następny rok jeszcze większy przyniósł nieurodzaj, skoro ludzie nic prawie nie zebrali z pól, wtedy już potracili ostatnią nadzieję, i każdy stał się w sercu gorszym, na swoją i drugich przyszłość z rozpaczy zobojętniałym.

Wtedy to zdarzało się, iż niejeden samotny człek ostawił wiatrom ojcowiznę swoją i poszedł we świat daleki, a zdarzyło się znowu, iż paru zasobniejszych, co mieli jeszcze ziarno z roków urodzaju, ponabywało grunta całe za parę korców zboża: ziemi nikto nie cenił, odkąd przestała rodzić. Tak, jak żeby zły urok szatan na nią rzucił. Co kto wsiał—nie urosło, co kto wsadził — zgniło. Przyszło kopanie, to kilkoro cały dzień boży kopało a na wieczór nie mieli co w koszykach nieść. I różnie ludzie dumali w swoich mętnych głowach. Plątała się nawet bajka o jezuitach, którzy mieli na złość światu ziemniakom pogrzeb sprawić i przez to się ziemniaki psuły. Byli tacy, co temu dawali wiarę, bo się już rozum pomieszał do znaku i nie wiadomo było kogo winić. Ale też byli i tacy, co się w sumieniach swoich rachowali i pozierali ze skruchą ku niebu; czuli w sercach, za co ta kara przyszła i nie śmieli na głos wołać o zmiłowanie.

Już trzeci rok się zaczął tej pokuty ziemskiej, już — widziało się — nic cięższego przywalić nie może, a tu jeszcze straszniejsze fale się zbliżały, jeszcze gorsze dla ludzi nawały i klęski“...

. . . .

Przestał na moment — i taka się uczyniła cisza, że słychać było dygot liści bukowych w bezwietrzu. Widziało nam się, gdyśmy w skupionem oczekiwaniu patrzyli w jego twarz zmienioną, że się cały przeniósł duchem do owych czasów. Tak oczy jego, w których blask od ognia złotawo się tlił, daleko poszły...

. . . .

Żywo ich widzę, jak obsiedli miskę i posilają się w milczeniu. Dzieci, które pomniejsze, na ziemi stoją przy stole i na palcach się podnoszą, aby dojrzeć na miskę przez krawędź. Dwoje ich takich niewysokich; niedużo starszy od nich chłopiec już daje sobie radę, siedząc, i je podług obyczaju. Czwarte, nieletnie jeszcze, na ręku dzierży matka, choć nie każdyby powiedział, że to matka tych czworga człowiecząt, tak jej postaci jeszcze dziewczęcość się trzyma. Jeno z twarzy przybielałej i z oczów ogromnie smutnych widnieją matczyne troski. Dzierży to małe na ręku i karmi je z łyżki, żując mu w ustach swoich twardawe ziemniaki. Widać wyraźnie walkę, którą toczy w sercu, by nie połknąć pożutej strawy, jak głód radzi. Zdaje się osłabionej, że zdrowie w ustach trzyma, wszystkie włókna jej ciała go pragną, a przecie się przezwycięża i zwraca je dziecku. Podobną walkę toczy w sercu swem i ociec, młody jeszcze gazda, siedzący naprzeciwko, opodal na ławie; umyślnie się tak odsunął, aby oczy ochronić od pokus; onby to wszystko warzywo za jednym połykiem wchłonął i jeszczeby się obejrzał za dalszem — wnętrzności mu, jak psy głodne, wyją o posiłek — a tu poziera: — dzieci z wytrzeszczonemi oczami nachylają się nad krawędź miski... i, choć go głód popycha, nie daje się znaglić, ale pomału, z rzadka bardzo wyciąga rękę ku stołowi. Po każdej łyżce strawy długo się namyśla i oczami głaska włosy zajętych jedzeniem dzieci, jakby chciał mówić: „Jedzcie, ja wam ta niedużo ujmę...“

Żywo na oczach staje... Ktośby mógł rzec, że to dziś, wczora, abo i rok temu. A to pół wieku... Hej, Boże wszechmocny!

Prócz tej młodej rodziny, baczę, najdowała się w izbie dziewczyna, wzrostem dobiegająca gospodyni i może lat kilka jeno od niej młodsza. Ta stała przy nalepie w smutnawem zamyśleniu. Zresztą nikogo więcej w chałupie — i cicho — słychać było jeno z rzadka stuk łyżek drewnianych o brzeg miski.

Młody gazda, jak się rzekło, mało się jedzeniem trudził, dumał se różnie w przestankach abo i zgoła bez myśli oczami po izbie włóczył. Aże się mu wzrok oparł o stojącą przy piecu dziewczynę.

— Czemu ty, Salka, nie śniadasz?

Dziewczyna drgnęła, pytaniem niespodziewanem zaskoczona, i siląc się widocznie na głos swobodny, odrzekła:

— Ja już po śniadaniu.

— Kiedy? Kto cię widział, jakeś śniadała?

— Bratowa widzieli: piekłach ziemniaki...

— Prawda to, Tekla? — zwrócił się do żony.

— Jakże! Ona by też o sobie naprzódy myślała!

— Piekłach przecie...

— Dla kogo?

Salka takiemi proszącemi oczami spojrzała na Teklę, że ta już nie miała siły dokończyć myśli poczętej.

Gazda, mimo to, zmiarkował już coś poza słowy, bo zagadnął obie razem:

— Co za tajemnice chowacie przedemną?

(C. d. n.)

WALERJA MARRENÉ MORZKOWSKA.

GENERAŁ MALLETSKI

(ZE WSPOMNIEŃ RODZINNYCH).

Mój ojciec, generał Jan Malletski de Grandville, dopiero przyjmując naturalizację polską, przybrał też do nazwiska i polską końcówkę „ski“. To nazwisko dzisiaj już nie należy do nikogo, bo nie miałam nigdy rodzeństwa.

Mój ojciec stał na czele inżynierji polskiej od zawiązku jej w wojsku Księstwa Warszawskiego, następnie w Królestwie kongresowem przez lat z górą dwadzieścia, dopóki inżynierja polska istniała. Służył gorliwie przybranej ojczyźnie, dokonał wielu pożytecznych dzieł, należał do kilku towarzystw uczonych, brał udział w naradach edukacyjnych, był w stosunkach z najznakomitszymi ludźmi swego czasu, cieszył się wielkiem poważaniem, jak świadczy zbiór pozostałych listów, które mam w ręku; a jednak dzisiaj, gdy tak skrzętnie zbierane są wspomnienia z epoki jego działalności, gdy wznawiają pamięć tylu innych, mniej zasłużonych, zaledwie gdzieniegdzie wspomni kto mimochodem jego nazwisko. Zdaje mi się więc, że jest moim obowiązkiem rzucić trochę światła na postać, niesłusznie zapomnianą. Chciałabym skreślić sylwetkę ojca, niedokładną zapewne, ale wierną o tyle, że opartą jest na moich własnych wspomnieniach, opowiadaniach rodziny i urzędowych dokumentach.

Zadanie to jednak trudne, wywołać z przeszłości obraz dzielnego człowieka, którego znałam tylko starcem w ostatnich latach życia, kiedy sama byłam jeszcze takiem dzieckiem, iż nie mogłam go tak ocenić, jak na to zasługiwał. Widziałam go tylko w domowych stosunkach, na wsi, i długi czas nie mogłam wyobrazić sobie inaczej, jak w szlafroku, przy kominku, lub w ogrodzie, z nieodstępną fajką w ustach.

Widać, znękany trudami wojskowego zawodu, tak ciężkiego za czasów pierwszej rzeczypospolitej francuskiej i Napoleona, nabrał nienawiści do wszelkiego przymusu i uważał za największą przykrość porzucenie ulubionego wygodnego ubrania. Takim go więc tylko pamiętam.

Później nigdy mi na myśl nie przyszło pisać o ojcu, choć był czas, kiedy mogłam zebrać o nim obfitszy materjał od tych, którzy z nim razem walczyli i pracowali. Zdawało mi się, że działalność jego nadawała się do historji, lub pamiętników, tych zaś pisać nie zamierzałam. A przytem mało zajmowano się u nas początkiem XIX. wieku, który dziś w naszej literaturze jest na porządku dziennym. Było ku temu wiele przyczyn: może epoka była nam zbyt bliską, może ostatnie wypadki zbyt pamiętne. Dość, że myśli ogółu szły w innym kierunku. A dzisiaj ci wszyscy, którzy informacji udzielić mi mogli, oddawna spoczywają pod ziemią i muszę poprzestać na tem tylko, com spamiętała.

Spróbuję przecież zbierać moje dawne wspomnienia i skreślić wizerunek ojca, wspierając się na tem, co słyszałam od matki, od wujów, zwłaszcza od jednego z nich, Bolesława Krasińskiego, który był czas jakiś adjutantem ojca, daty i wypadki czerpiąc z jego stanu służby, który mam przed oczyma.

Na nieszczęście, nie otrzymałam w puściźnie żadnej podobizny ojca. Słyszałam nieraz,

jak go namawiano ażeby się dał malować, matka moja prosiła o to z naciskiem. Ani chciał słyszeć, zżymał się na samą myśl, bo wygodę przenosił nad wszystko. On, tak żywy pomimo wieku, miałby porzucić ulubiony szlafrok, ubrać się i siedzieć nieruchomy. I na co? Dla czego? Co mu po portrecie?

Nie było na świecie człowieka, któryby się mniej troszczył o konwenanse, o zdanie ludzkie, o to, co wypada, lub nie wypada, a nawet dla którego obojętniejszą byłaby sława, wszystkie jej blaski, potomność i t. p. Nie była to wcale przybrana poza, lub rozgoryczenie, do którego nie miał żadnego powodu, tylko szczera, zupełna obojętność dla rzeczy, powszechnie pożądanych, zapalających tyle umysłów, a które nie obchodziły go wcale.

Przy takiem usposobieniu, ojciec nie dbał, naturalnie o swój wizerunek. A że w owych czasach fotografja była jeszcze w kolebce, trudno było pochwycić podobiznę bez jego woli, nie było też pod ręką artysty, któryby go wymalował ukradkiem, lub z pamięci. Projekt portretu był zawsze na porządku dziennym u mojej matki, ale uskutecznionym nie został.

Była przecież w domu miniatura ojca, malowana kiedy jeszcze był młody, ale tę skradziono za jego życia, zapewne dla tego, że miała złotą oprawę. Pamiętam ją dobrze: przedstawiała piękną głowę z bujnymi włosami, czarnymi jak heban; rysy były niezmiernie delikatne, oczy i cera południowa, wyraz bystry, pogodny, ujmujący. Takim był mój ojciec na tej miniaturze.

W rzeczywistości wydawał mi się zupełnie innym, tak dalece, iż trudno mi było uwierzyć, by ten świetny, młody oficer, zmienił się w starca, który nie przypominał go niczem. Włosy wprawdzie porastały tak bujne, jak niegdyś, ale przybrały srebrzysty kolor; rysy zgrubiały, straciły piękne linje; twarz ciemna, ogorzała, pokrajana zmarszczkami, miała niebieskawe odcienie około ust i podbródka z powodu gęstego, zgolonego zarostu, bo ojciec nie nosił ani brody, ani wąsów. Był średniego wzrostu, dobrej tuszy, trochę przygarbiony, oczy tylko zachowywały swą żywość. Taki też był i jego temperament. Do samej śmierci był prędki jak ogień. Byle o co wpadał w gniew, ale gniew ten mijał prędzej jeszcze, niż powstawał i mijał bez śladu. Kto go nie znał, mógł się przestraszyć nagłym jego wybuchem, przecież otoczenie, domownicy, służba, wiedzieli dobrze, iż był to słomiany ogień i nic sobie z niego nie robili. Gniewał się najczęściej z powodu, że go nie rozumiano, a to, niestety, zdarzało się ciągle, bo, chociaż młodo przybył do Polski i naturalizował się Polakiem, nigdy nie nauczył się języka swej przybranej ojczyzny.

Dziwny z pozoru ten fakt w człowieku, który pozostawał ciągle w czynnej służbie, tłumaczy się się rozpowszechnieniem wówczas francuskiego języka. Wszystkie rozkazy i komunikaty władz tak wojskowych, jak cywilnych, zwracane do mego ojca, jakie mam w ręku, redagowane w języku francuskim; podwładni jego oficerowie i adjutanci władali nim doskonale. W towarzystwach używano go wyłącznie. W takiem otoczeniu cudzoziemiec mógł zapomnieć, że jest w obcym kraju i nie czuł za młodu potrzeby nauczenia się po polsku. Dopiero kiedy osiadł na wsi ta potrzeba uczuć mu się dała. Nie można nawet powiedzieć, by mówił po polsku źle, nie mówił wcale, a co najszczególniejsze, wyrobił sobie jakiś język własnego wymysłu, do żadnego innego niepodobny; używając go, wyobrażał sobie, że mówi po polsku, i wpadał w gniew okropny, gdy go nie rozumiano. Co prawda, przy najlepszej woli, zrozumieć było trudno.

Tylko jeden Walenty, wychowany od dziecka przy dworze i nieodstępny ojca służący, posiadał tę dziwną gwarę i porozumiewał się za jej pomocą z moim ojcem, posiłkując się także zepsutą francuzczyzną.

Już to pod względem lingwistyki działy się u nas dziwne rzeczy i można było nasłuchać się wyrazów i zwrotów, nieobjętych żadnym na świecie słownikiem.

(C. d. n.)

Czasy i ludzie

(ZIEMIA LWOWSKA, HALICKA, PRZEMYSKA I SANOCKA W KSIĄŻCE P. WŁADYSŁAWA ŁOZIŃSKIEGO pt. PRAWEM I LEWEM).

Skreśliwszy w ponurych barwach prawne stosunki Polski za czasów Zygmunta III. roztacza w dalszym ciągu p. Wład. Łoziński nie mniej ponury obraz współczesnych czasów i ludzi na ziemiach ruskich. Gdyby nie pewność, że opowiadania autora opierają się wyłącznie na aktach kryminalnych, są zatem niejako kroniką kryminalną i skandaliczną i pod żadnym warunkiem nie mogą być uogólniane, groza musiała by przejąć czytelnika na samo wspomnienie tych okropnych stosunków życia codziennego.

Dom szlachecki miał według praw być warownią wolności i bezpieczeństwa — nie miał prawa zastukać do tego domostwa król, niemiał tego prawa reprezentant króla i stróż praw: starosta, ale hajduk wielkiego pana, ale zbrojny sąsiad, ale Tatar gość niemal coroczny, ale grassant Lisowczyk z pod rozbitej chorągwi, ale opryszek wołoski, węgierski lub t. zw. beskidnik nie uszanował pewnie jego progów. Wolnym naprawdę i nie tylko wolnym, ale udzielnym był wielki pan, ale i ten dopóty tylko, dopóki nie usiadł mu na karku jeszcze większy, jeszcze możniejszy przeciwnik — zwyczajny wioskowy szlachcic żył w niepewności, w trwodze, zależności, prawie w niewoli. Stąd też dom szlachecki był małą forteczką zwykle, a rezydencja możnego pana, już warownym i obronnym zamkiem, na którego utrzymanie i obronę przy pomocy licznej służby i cudzoziemskich zaciągów żołdackich szły całe fortuny, ze szkodą dla humanitarności sztuki, oświaty. Bardzo bowiem nieliczni byli ci, co ozdabiali kraj monumentami architektury, zakładali szpitale i szkoły, utrzymywali tw. „kunstkamery" zbierali biblioteki. Najwięcej jeszcze ofiarności objawiało się w fundowaniu kościołów i klasztorów.

Same fortuny były wielkie, a powstawały w tym czasie szybko, ale niestety nie zawsze pracą, talentem, zasługą, przedsiębiorczą inteligencją. Chłop żył z ziemi, szlachcic z ziemi i chłopa magnat z ziemi, chłopa, króla i Rzeczypospolitej. Gospodarstwo było drapieżne, dochody całych lat eskontowano w jednym roku, a z tych nieprzebranych skarbów roli, z obfitości płodów „ziemi miodem i mlekiem opływającej" bogaciła się bardziej zagranicą, niż sam kraj, bogacił się przedewszystkiem niemiecki Gdańsk, który wyzyskiwał całą Polskę. — Najracjonalniejszym jeszcze był wywóz zboża, choć i ten odbywał się zbyt często kosztem ludności narażonej na drogość chleba, rzucanej niekiedy nawet na pastwę głodu. Natomiast marnowanie lasów, niszczenie całych puszcz nieprzebranych, rzucanie na targi zagraniczne po najgorszych cenach najkosztowniejszego materjału wypalanie potażów w barbarzyński sposób, było karygodną lekkomyślnością. Całe lasy płynęły do Gdańska, z polskiego drzewa budowały się floty hanzeatyckie, angielskie i holenderskie, reszta szła na wanczosy, klepki, falby, a już najbardziej na popioły. Oprócz tego kwitł handel wołami, solą, ale o jakiejkolwiek przemysłowej stronie gospodarstwa rolnego niema oczywiście i mowy.

Następnie przechodzi autor kolejno klęski chroniczne, które nawiedzały te ziemie, a mianowicie najazdy tatarskie, swawolnego żołnierza, opryszków i złych sąsiadów.

O Tatarach powiada między innemi tak: „Nawet przy uwzględnieniu wszystkich niedostatków organizacji państwowej w Polsce, nie podobna prawie zrozumieć, że naród tak bitny i waleczny, a który w sztuce wojennej nie ustępował innym współczesnym w Europie, że naród Tarnowskich, Chodkiewiczów, Koniecpolskich, Czarnieckich, Sobieskich mógł znosić te nieustanne zagony hord nieregularnych, źle uzbrojonych i łatwych do pobicia, że warstwy jego rządzące nie miały tyle rozumu, tyle energji, tyle ambicji, powiedzmy otwarcie, tyle wstydu, aby jeżeli już nie zdobyć się, jak to przecież uczyniła sąsiednia Rosja, na zdeptanie zbójeckiego wroga w samem jego gnieździe, to przynajmniej czujnością, odporem zorganizowaną stale obroną granic ubezwładnić jego najazdy. „Przedmurzem" chrześcijaństwa byliśmy niestety i w bardzo bier-

nem znaczeniu tego frazesu, w znaczeniu tego na co dziś Niemcy mają nazwę „*Pufferstaat*“, bo na co zdało się myśleć o chrześcijaństwie, skoro nie umieliśmy myśleć o sobie.

Zaraz po Tatarzynie szedł żołnierz swawolny, lepszy od Tatarzyna chyba tem, że wsi niepalił i jeńców nie brał. Pod względem wojskowym nie było chyba kraju, w którym by się tak ścierały ostateczności jak w Polsce. Nie miała stałej armji, a miała najdotkliwszy ucisk żołnierski, nie miała żołnierza dla siebie, a miała go na eksport zagraniczny, miała go na eksport zagraniczny, miała go na eksport zagraniczny a sama importowała go z Węgier, Niemiec i Wołoszczyzny.

Wielka myśl Batorego: zorganizowanie armii z ludu, stworzenie regularnych pułków z dzielnego, bitnego i karnego polskiego chłopa, gdyby się była stała rzeczywistością — na jakiejże wyżynie postawiłaby była Polskę i ktoby jej był silen w Europie. — Niestety, cnoty żołnierskie polskiego chłopa odkryto zbyt późno, a wyzyskały je dopiero rządy rozbiorowe. Ale nawet i w tych czasach, te „pacholiki“ te pogardzane „ciury“ ta „czeladź“, której bardzo wielka liczba była zawsze w obozach polskich na usługi szlachty zapisała się w dziejach wojennych nie jednym świetnym czynem męstwa, którego jej pozazdrościć mogli jej panowie. W r. 1610 pacholikowie szturmem zdobyli moskiewski bardzo obronny zameczek Rostów, w r. 1649 pod Zborowem luźna czeladź obozowa zrobiła wycieczkę i położyła trupem kilkuset Kozaków i Tatarów, zdobyła baterję i trzy chorągwienie przyjacielskie, podczas wojen szwedzkich ciurowie uderzyli na nieprzyjaciół w Łęczycy i haniebną im zadali klęskę, taż sama „hołota obozowa“ odebrała Szwedom Warszawę.

Między swawolnym, luźnym żołnierzem, a opryszkiem były bardzo płynne granice, gdyż zbójectwo zorganizowane było prawie na sposób wojskowy, a rekrutowało się także pośród żołnierstwa, jak niemniej Lisowczyków.

Do najgorszych jednak utrapień życia ówczesnego należał zły sąsiad, gdyż ten pod niejednym względem gorszy był nawet od Tatarzyna i swawolnego żołnierza. Ci bowiem byli i poszli a sąsiad ciągle siedział na karku i żyć nie dawał. Na podstawie aktów opowiada p. Łoziński cały szereg kłótni niezgody i zajazdów, a gwałtów sąsiedzkich, przechodzi w ten sposób wszystkie prawie rodziny szlacheckie, które żyły podówczas na ziemiach ruskich. Czytając te opisy i tajemnice rodów wielkopańskich nie można się oprzeć strasznemu wrażeniu że się czyta kronikę mordów pożogi i zbrodni, które potokami krwi bratobójczej zalały te ziemie. Powtarzać ją, choćby w najogólniejszem streszczeniu niema potrzeby, dla przykładu zaś tylko skreślimy w następnym artykule historję „Djabła łańcuckiego“ tak jak ją p. Łoziński opowiada.

PRAWO ŁAJANIA

DR. PRZEMYSŁAW DĄBKOWSKI: „O utwierdzeniu umów pod grozą łajania w prawie polskiem średniowiecznem. We Lwowie. Nakładem Tow. dla popierania nauki polskiej r. 1903.

Niedostatki średniowiecznego porządku prawnego i słaba egzekutywa ówczesnych sądów stworzyły szereg instytucji, będących wyrazem samoobrony jednostki przeciwko naruszeniu jej praw. Instytucje te, do których należy także utwierdzenie umowy pod grozą łajania, zadziwiają dzisiaj pierwotną oryginalnością swego pomysłu, były jednak na czasy ówczesne, niekiedy jedynym środkiem egzekucji, a czasem nawet od niej skuteczniejszym. Prosta i gruba natura średniowiecznego człowieka na siłę fizyczną, miała fizyczny opór, ale wobec przymusu moralnego stała bezsilna. Stąd też pochodzi to doniosłe znaczenie średniowiecznej przysięgi, stąd też i groza łajania w ra-

zie niedotrzymania umowy, zawartej pod rękojmią wiary i honoru bardziej niekiedy była skuteczną niż bezpośrednia egzekutywa. Wierzyciel w razie niedotrzymania umowy nabywał prawo publicznego szkalowania dłużnika i bezczeszczenia go tak ustnie jak i pisemnie. Mógł jednak nie tylko ogłosić publicznie, że ten lub ów nie spełnił przyjętego na się zobowiązania, coby się ostatecznie równało dzisiejszemu ogłoszeniu niewypłacalności, ale mógł też podeptać honor niewypłacalnego dłużnika, zbezcześcić go w sposób dowolny, z niedotrzymanem zobowiązaniem nawet nic wspólnego nie mający. I tu właśnie spoczywa nieetyczny, nawet ze współczesnego stanowiska, charakter całej instytucji. Rozumiały go dobrze czasy średniowieczne i dlatego nie wszystkie zobowiązania niedotrzymane podlegały prawu łajania, ale te tylko, w których wierzyciel wyraźnie je sobie zastrzegł, a dłużnik na nie się zgodził, stąd też pochodzi dalej, że sama instytucja nie przekroczyła czasów średniowiecznych, a czasy późniejsze i późniejsze prawodawstwa nie tylko o niej zapomniały, ale ją wprost wykluczyły z używania.

W Polsce prawo łajania miało nie zbyt wielkie zastosowanie, toż nic dziwnego, że tak długo czekać musiało na naukową monografję, tem bardziej, że monografji takiej nie posiada literatura czeska, gdzie prawo łajania znane było w szerszym zakresie, a nawet literatura niemiecka, skąd prawo to najprawdopodobniej wzięło swój początek.

Wobec tego książka dra Przemysława Dąbkowskiego, której tytuł wymieniliśmy w nagłówku, jest pierwszem naukowem opracowaniem tego przedmiotu i, powiedzmy odrazu, zupełnie wyczerpującem.

Jako uczeń (jeden z najlepszych) profesora Balzera ma dr. Przemysław Dąbkowski całą metodę badania, która dziełom jego mistrza daje tak wielką wartość naukową, ma dalej własne niepospolite zdolności, bezprzykładną nieledwie pracowitość i sumienność w badaniu, nie licząc już zamiłowania w obranym kierunku studjów. Stąd jego prace, a zwłaszcza ostatnia, przedmiotem niniejszych uwag będąca, jest mozolnie złożoną syntezą odnośnego materjału archiwalnego, w której nie ma nic innego, jak tylko to, co ponad wszelką wątpliwość stwierdziły źródła i to źródła pewne i jasne. Jeżeli więc metoda badania opierająca się przynajmniej częściowo na inwencji autora i wnioskach bliżej lub dalej idących, porównaną być może z murem spojonym wapnem lub cementem, to metoda dra Dąbkowskiego jest murem niespojonym, murem cyklopów na własnej opartym mocy, na sile własnego ciężaru.

Zaznajamia monografja o prawie łajania z całością instytucji ze wszystkich możliwych stron prawnych i historycznych rozpatrzonej, daje począwszy od literatury i terminologji aż do historji wyczerpującą odpowiedź na wszystkie kwestje z prawem łajania związane.

I to jest główna wartość i pożytek książki dra Dąbkowskiego dla nauki, nie licząc już tego, że jest ona pierwszą w tym kierunku w całej prawniczej literaturze. A wartość dalsza, nie mniej wielka, polega na pewności odnośnych informacji, wszechstronnem opanowaniu źródeł. Późniejszy badacz w miarę powiększenia się źródeł pójść może dalej, opierając się na pracy dra Dąbkowskiego, ale pokłosia źródłowego za nim zbierać, nie będzie miał żadnej potrzeby.

Fr. Jaw.

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. *Korespondencja Józefa Bohdana Zaleskiego*, wydał Dyonizy Zaleski. Lwów 1903. Tom IV. — Ostatni, który dopiero co opuścił prasę, tom listów Bohdana Zaleskiego zawiera jego korespondencję z lat 1867 do 1871. Znalazło się tu przeszło dwieście listów pisanych w różnych sprawach i do różnych ludzi. Miejsca zawierające sprawy ściśle poufne i prywatne zachował wydawca w tajemnicy, to też treść wszystkich listów o dnos

się przeważnie do spraw publicznych różnego rodzaju, jak nie mniej do osoby poety. — Wielka to kopalnia szczegółów do historji i zapatrywań współczesnej emigracji, jak nie mniej do studjów nad biografją Bohdana Zaleskiego. Ale i po za tą wartością naukową, posiadają ogłoszone dopiero co listy nie małą wartość literacką, tak z powodu swej ujmującej formy, jak i nakładu myśli wzniosłych i patrjotycznego uczucia, które z każdego nieledwie zdania bucha tam z wielką siłą. — Wcale, pod względem rozmiarów, dużą książkę czytać można z wielkiem zainteresowaniem, nawet mimo a może i właśnie z powodu różnorodnej treści, która jest tam zawarta.

NOTATKI. *Pokłosie konkursowe.* Oglądając nagromadzony w auli politechniki plon konkursu na kościół św. Elżbiety we Lwowie, trudno się oprzeć dwojakiemu uczuciu. — Pierwsze, to pewnego rodzaju upokorzenie lokalnego patrjotyzmu, zasadzające się na myśli, że jednak monumentalny, rzadki w dziejach współczesnego lwowskiego budownictwa, gmach nie stanie myślą, talentem i natchnieniem Lwowianina, że lwowska architektura dziwnie jakoś daleko stanęła w konkursowym zawodzie. Dziwnym jednak jest fakt ów tylko pozornie. Kto bowiem patrzy na to, co i jak się we Lwowie buduje, ten łatwo zrozumie, że w tej niedawnej gorączce budowlanej, a dziś zastoju, nie było i nie ma kolebki dla genjalnych architektów, że nawet młodzi z polotnym umysłem ludzie, których u nas ostatecznie niebrak, tak są silnie wtłoczeni w ramy paragrafów ustawy budowniczej, że im czasu nie stać na tworzenie dzieł... wiekopomnych.

Druga myśl to... rozczarowanie. Tak jeszcze niedawną i żywą jest dyskusja na temat stylu polskiego, jeszcze zdają się migać w powietrzu ciupagi argumentów, któremi na wsze strony wywijano, że trudno jakoś uwierzyć, aby z pierwszego zaraz konkursu nie wyskoczyło, choćby przybliżone wcielenie nadzieji, jeżeli już nie stylu wybitnie polskiego, to przynajmniej polskiego renesansu.

Myśl konkursowa jednak i jej plon poszły przeważnie w kierunku gotyckim. Nie wiele jest bowiem na wystawie projektów, które by nie miały chociaż pewnych przynajmniej szczegółów gotyckich. Że to jest dobre i szlachetne pojęcie domu modlitwy o tem nawet nie mówić, a że nasz wiek na własny oryginalny styl zdobyć się nie może — to trudno, i trzeba się z tem liczyć, że nie ludzie tworzą formy stylowe, ale je tworzy sam... czas.

Ostateczny wynik konkursu na kościół św. Elżbiety znany jest powszechnie. Dwie pierwsze nagrody równorzędne otrzymali prof. Talowski (godło „Trio") i prof. Odrzywolski (godło „czerwony krzyż w kole") trzecią wreszcie nagrodę wzięli... również Krakowianie pp. Stryjeński i Mączyński (godło „marka pocztowa").

Wiadomo jest dalej, że komitet ściślejszy uznał, jako żaden z trzech nagrodzonych projektów nie nadaje się w całości do wykonania, że zatem trzej (względnie czterej) laureaci staną do konkursu ściślejszego. — Rozstrzygnie się zatem walka między stylem gotyckim, reprezentowanym w projekcie prof. Talowskiego, przejściowo romańskim (p. Odrzywolski) i romańskim (pp. Stryjeński i Mączyński) przyszły więc kościół, będzie albo gotycki, albo romański.

Projekt prof. Talowskiego nie zawiera bliższych wyjaśnień co do rozkładu i szczegółów (przynajmniej nie ma takiego objaśnienia na wystawie). Ogólnie więc stwierdzić należy, że odznacza się on smukłymi kształtami, o szlachetnych pełnych prostoty linjach, tak w samym budynku jak i w strzelistych wieżach. — Równorzędny projekt prof. Odrzywolskiego wykonany ma być z cegły, z częściową okładką z ciosu. W części przedniej zachowano system halowy, w części prezbiterjalnej system bazylikowy z obejściem i wieńcem kaplic. W jednej wieży projektowane są schody na chór, w drugiej znajdzie pomieszczenie chrzcielnica, dwie zaś boczne przestrzenie przeznaczone są na miejsce spowiedzi dla głuchych. Trzeci wreszcie projekt pp. Stryjeńskiego i Mączyńskiego utrzymany w oryginalnym stylu romańskim odznacza się dwoma nierównej wysokości wieżycami, w około zaś nawy proponuje cztery kaplice, a mianowicie dla korporacji rzemieślniczych, kaplicę Matki Boskiej i świętych Michała i Antoniego.

Z projektów przeznaczonych do zakupna odznacza się projekt p. Rogera Sławskiego z Berlina (godło „Kyrje elejson") pięknym stylem francuskiego gotyku, inny projekt prof. Talowskiego (godło „ars") i kilka jeszcze po za tem. — Z dalszych wcale nienagrodzonych projektów zwraca na się uwagę jeden, nie tyle pięknością, ile niezwykłym dla formy kościelnej pomysłem budynku z jedną wieżą na środku, co wszystko razem przypomina trochę niby jakiś renesansowy ratusz.

Honor lwowskiej architektury trzyma na barkach swoich jedyny p. Wincenty Rawski, którego projekt pod godłem „wiara" odznaczono propozycją zakupna. Projekt ten, już choćby z tego jednego względu, że jest jedynym odznaczonym lwowskim, zasługuje na bliższą uwagę, tem więcej, że jest wcale piękny i udatny. Utrzymany w stylu wczesnego gotyku, zastosowany jest głównie do praktycznych potrzeb kościołów katolickich, gdyż skupia w środku kościoła w założonym ośmioboku największą ilość osób najbliżej głównego ołtarza i ambony. Oprócz chóru proponuje p. Rawski dwie przeciwległe galerje na osi głównej poprzecznej kopuły, co się zaś tyczy sposobu wykonania, to chciałby go autor mieć z cegieł na zaprawie wapiennej, arkady i filary wewnętrzne z cegły mocno palonej, gzemsy wreszcie z ciosowego kamienia.

F. J.

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego l. 8.